

Cztery lata piekła w relacji naocznego świadka

Wydaje się, że o Auschwitz powiedziano już dość. Jednak wspomnienia Stanisława Głowa dowodzą, iż jest to temat, który – nawet zgłębiany wielokrotnie – nigdy nie przestanie zadziwiać i przerażać.

Głowa przeżył w KL Auschwitz blisko cztery lata i zrobił tam swoistą „karierę”. Dzięki umiejętnościom, obrotności, sprzyjającym okolicznościom oraz ludziom – czasem nawet wbrew sobie – „awansował” na kolejne stanowiska. Na nich nie tylko mógł przetrwać we względnie znośnych warunkach, ale także konspirować i obserwować, a w końcu opisać funkcjonowanie różnych członów obozu, przeplatając swą relację obrazami z życia codziennego.

Autor nie oddaje oczywiście całości obozowego życia, ale jego opis jest bardzo szeroki, a nadto rzeczowy, treściwy i bezpośredni. Nie obawia się nazywać spraw i sprawców po imieniu. Dzięki temu właśnie jego wspomnienia wywierają ogromne wrażenie.

Główny tekst uzupełniony został w niniejszej książce treścią spisanych w innym czasie przez Stanisława Głowę artykułów i dokumentów, w których rozwija on i pogłębia niektóre wątki obozowe.

Opracowanie zilustrowano zdjęciami z archiwów rodziny.

Patroni:

MBP Cieszanów
Mrok i mgła nad Auschwit...



0000027932

Cena: 44,90 zł



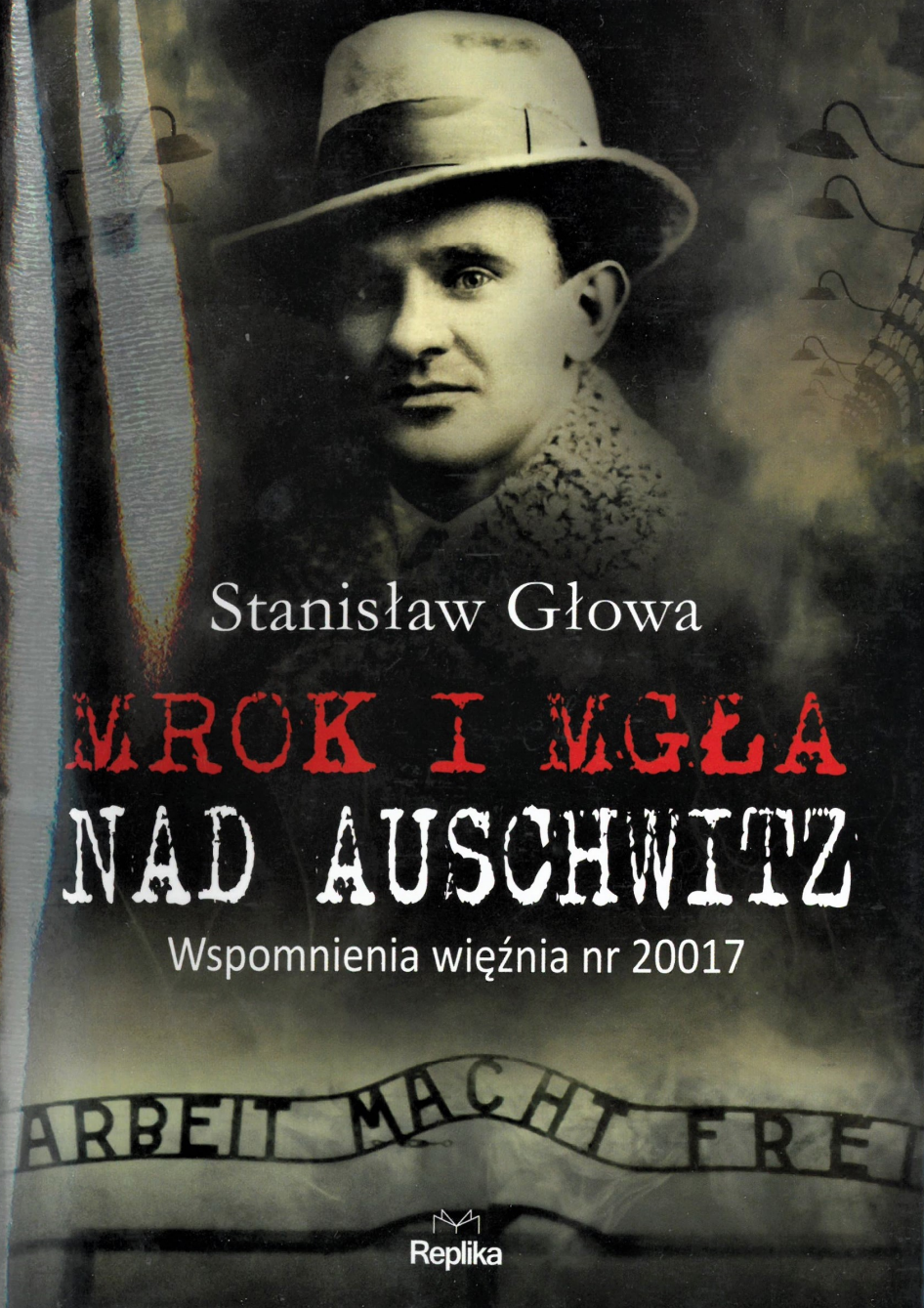
9 788366 217010

www.replika.eu

Stanisław Głowa

MROK I MGŁA
NAD AUSCHWITZ

Replika



Stanisław Głowa

MROK I MGŁA NAD AUSCHWITZ

Wspomnienia więźnia nr 20017

Replika

Jeszcze próbowałem zagadać.

– A może zagramy w „zechcyka” jak dawniej?

– Możemy grać, ale gadaj, o co pytam.

I tak się zaczęło: róże, Oświęcim, 66 w karty i nr 20017.

Rozdział I

Młodość i początek koszmaru

1. Przed wojną

Urodziłem się w Igołomii. Szkołę powszechną w typie rosyjskim, tzn. czteroklasową, skończyłem w Igołomii, następnie przenieśliśmy się do Krakowa, gdzie w latach 1918–1923 ukończyłem gimnazjum im. B. Nowodworskiego. Po ukończeniu gimnazjum zapisałem się na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, wydział filozoficzny, i w 1928 roku otrzymałem absolutorium. Zacząłem uprawiać belferkę na terenie Krakowa w szkołach powszechnych w Grzegórkach. Później, na skutek pewnych losowych wydarzeń, dostałem się do Zarządu Miejskiego w Krakowie jako tłumacz języka rosyjskiego do opracowań statystycznych, które nadchodziły via Paryż. W Zarządzie Miejskim przepracowałem na niemal wszystkich wydziałach. Później zostałem mianowany referentem Wydziału Opieki Społecznej i na tym stanowisku jako kierownik działu dotrzymałem do września 1939 roku.

Przed wojną byłem członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, gdyż ojciec mój z ziemi miechowskiej po-

słował, więc zostałem Stronnictwu Ludowemu wierny. Przed wojną spędziłem w Łobzowie rok w szkole podchorążych, którą ukończyłem z odznaczeniem i uzyskałem stopień podchorążego kaprała.

24 sierpnia 1939 roku podczas posiedzenia magistratu otworzyły się drzwi, wszedł woźny i w taki sposób radca Stanisław Głowa otrzymał powołanie do wojska. Widząc to, wstał wiceprezydent miasta, Klimiecki, i pogratulował mi. Pożegnałem się ze wszystkimi obecnymi i wieczorem tego samego dnia byłem już w koszarach przy ul. Warszawskiej, meldując się w 12 Pułku Piechoty, oddział karabinów maszynowych.

2. Wrzesień 1939 r.

Już 29 sierpnia z oddziałem karabinów maszynowych 12 Pułku Piechoty w Wadowicach wyruszyłem pod Pszczynę. Zaczęło się piekło na ziemi. Oddziały podchorążych z flaszkami benzyny rzucały się na tanki wroga. Samoloty nieprzyjacielskie z najbliższej odległości prażyły ogniem broni pokładowej. Na nic się zdało bohaterstwo i pogarda dla śmierci. My, żołnierze, pośród pamiętnych dni września czekaliśmy tylko nocy, by w mrokach można się było wycofać.

Zaopatrzenie zawiodło już w pierwszych dniach walki. Nowe pozycje ustalono w okolicach Krakowa, gdzie mieliśmy otrzymać sprzęt, amunicję i żywność. Duch w szeregach wspaniał, a pragnę zaznaczyć, że cały oddział to sami rezerwiści. Wyposażenie, pożał się Boże,

osiemnaście starych „maksimów” na dwunastu chłopskich wozach. To wszystko. Kuchni brak.

Mimo zapowiedzi w Krakowie nie zatrzymaliśmy się. Obeszliśmy go bokiem, by odsapnąć w okolicach Niepołomic. Ale tylko na chwilę, bo wielką obronę nad Wisłą i Sanem przygotowywała 6 Armia z generałem Mondem na czele.

Kiedy zmierzaliśmy do nowych pozycji, zatrzymano nasz oddział pod Tarnobrzegiem, wyznaczając odcinek obrony mostu. Ale znów tylko na moment, bo nowe i jakże sprzeczne rozkazy wyznaczały nowe, przygotowane punkty obrony nad Bugiem, a to znów na Polesiu. Rozkazuje się wszystkim oddziałom podążyć w tym kierunku. Od tego momentu nasz oddział pozostał bezpieczny, bowiem dowódca, kapitan rezerwy, a z cywila profesor Akademii Handlowej z Krakowa, zaginął wraz z małym fiacikiem służbowym. A oddział 125 osób i osiemnastu karabinów na dwunastu wozach przedzierał się na Wschód. Sami zdobywaliśmy zaopatrzenie i broń. Jedliśmy bez soli i chleba, ale pełni nadziei. Zmęczonym i głodnym koniom pomagaliśmy ciągnąć wozy, zwłaszcza na piaszczystych drogach.

Minęliśmy Zwierzyniec, Janów Lubelski, Łaszczów, gdzie stoczyliśmy drobne potyczki. Pod Łaszczowem wzięliśmy do niewoli stu jeńców i osiem wozów pancernych. Jeńcy częstowali nas papierosami, za którymi tak tęskniliśmy. Przestrzegaliśmy wszelkich praw wojennych. Z rozmowy z podchorążym armii hitlerowskiej, ekonomistą z Lipska, dowiedzieliśmy się po raz pierwszy nagiej prawdy.

„Armia polska rozbita, a wy jesteście tylko niedobitkami i najdłużej za godzinę czy dwie nadciągną nasze

wojska pancerne. Musicie więc wiać dalej”. – Słowa te przytaczam dokładnie.

I tak się rzeczywiście stało. W tempie mocno przyspieszonym wycofaliśmy się na Błota Pińskie, o których umocnieniu żołnierz cuda wysłuchiwał. W okolicy Komarowa oddział nasz spotkał się z armią radziecką. Po złożeniu broni żołnierze, prócz oficerów, zostali rozpuszczeni do domów.

Było to pod koniec września 1939 r.

3. W okupowanym Krakowie

Wracając etapami do Krakowa, miałem możliwość zobaczenia wszystkich zniszczeń dokonanych przez wroga na naszej ziemi. Smutek i żałobę narodową widać było niemal u wszystkich mieszkańców miast i wsi.

Wreszcie przekroczyłem roгатki ukochanego Krakowa. Na ulicach zobaczyłem po raz pierwszy Żydów z opaskami, zamiatających ulice. Gestapo szalało. Auta przewoziły aresztowanych na Pomorską czy Montelupich. Terror wzrastał się. Rozstrzelany został wiceprezydent miasta dr Stanisław Klimecki, mój decernent, i wielu, wielu innych.

W zakładzie instalacyjnym inż. Juliana Jurczaka, mego przyjaciela, zawiadomiono mnie o tworzeniu się ruchu oporu i powstaniu komórek konspiracyjnych. Zebrania naszej grupy odbywały się przy ul. Franciszkańskiej 4 w oficynie.

Przystąpiłem do pracy konspiracyjnej, a równocześnie zgłosiłem się do władz miejskich i zostałem przy-

jęty na dawne stanowisko kierownika oddziału opieki społecznej Zarządu Miasta. Każdy dzień przynosił nowe wiadomości, nowe zarządzenia i coraz większy terror. Drożyzna w mieście rosła, hieny szalały. Spekulanci odżyli. A jednak społeczeństwo jakoś sobie radziło. Na kioskach coraz to nowe ogłoszenia w rodzaju: „Wzywa się n. oficerów”, to na innym miejscu ogłasza się listę rozstrzelanych.

Wieści z Montelupich przejmowały grozą. W piwnicach na „Monte” stosowano średniowieczne tortury. Żydzi mogli pokazywać się na ulicach tylko z opaskami, i to na jezdni, z wykluczeniem chodników. W tramwajach przedziały „nur für Deutsche”. Rynek, ten stary krakowski rynek, nazwano imieniem Hitlera.

Tak mniej więcej zakończył się rok 1939. W sercach żywno nadzieję, że następny będzie szczęśliwszy, że wystąpią już zbrojnie Anglia, Francja i Stany Zjednoczone.

Wszyscy cieszyliśmy się na rychły koniec i druzgocącą klęskę III Rzeszy. Ale rok nowy, 1940, zaczął się jeszcze bardziej tragicznie dla narodu polskiego, a dla społeczeństwa żydowskiego wręcz katastrofalnie. Zaczęto przebąkiwać o gettach, obozach, wysiedleniach i innych okropnościach. I jeśli my, Polacy, uwierzyliśmy w te przepowiednie, to niemal całe społeczeństwo żydowskie, zadufane w swoją materialną potęgę, było pewne, że za pieniądze można kupić nawet samego Hitlera.

Praca w zmodernizowanym Zarządzie Miejskim była ciężka, nieznamość języka wielce tę pracę niektórym utrudniała. Urzędy zalewane były typami tzw. volksdeutschów, reichsdeutschów czy innych deutschów.

Znaliśmy już wiele okrucieństw, jak masakrę gliwicką, rzeź Bydgoszczy czy inne. Ale najpotworniejsze było wysiedlenie z poznańskiego, które pod koniec 1940 r. przybrało gwałtownie na sile. Kobiety i dzieci na lorach przywożone do Krakowa w grudniu 1940 roku, w czasie dość silnych mrozów, robiły wstrząsające wrażenie. Zamrożone trupy dzieci i dorosłych przewożono wprost z dworca na cmentarz. Pozostających przy życiu rozmieszczano po zakładach opieki społecznej. Dużą pomoc niosła RGO – organizacja społeczna powstała w tym czasie, zresztą za zgodą władz niemieckich. Przewodniczącym RGO był hr. Ronikier. Na terenie Krakowa komitet z prof. L. Piotrowiczem, posłem St. Rymarem, hr. Różą Łubieńską, Mażankową, a przede wszystkim matką wszystkich opuszczonych, panią Zazulową, działał sprawnie.

Parę słów pragnę poświęcić pani Zazulowej. Wiem, ile nocy nie przespała, ile sił i zabiegów poniosła ta cicha społeczniczka, stała pozostająca w sercach więźniów, którzy przebywali na „Monte”. Kiedy swym nieodstępnym wozem RGO zajeżdżała co tydzień w mury Montelupich, więźniowie w tej matce uciśnionych widzieli i serce, i dobroć, a przede wszystkim symbol Ojczyzny, która żyje i nie daje się zgnać.

Nadeszło lato 1941 roku. W zakładach opiekuńczych przebywało kilkaset dzieci wysiedlonych z poznańskiego, a zagrożonych gruźlicą. Dla tych nieszczęśliwców postanowiliśmy urządzić kolonie letnie w Rabce-Zarytem. Z ramienia opieki społecznej mnie powierzono to zadanie. Ale cóż, wynajęcie budynku to jeszcze za mało. Dzieciom trzeba było dać dobre wyżywienie i specjalną opiekę. Tę ostatnią powierzono siostrom serafitkom,

które z zadania wywiązały się znakomicie. Największą przeszkodą była sprawa zaopatrzenia. Brak było mleka, mięsa, kaszy, nabiału i jarzyn dla dzieci.

**Archiwum KŚZpNP:
Protokół przesłuchania świadka
Stanisława Głowy
3 czerwca 1970 r.**

W okresie okupacji, podobnie jak i przed wybuchem wojny, zatrudniony byłem z zarządzie miejskim w Krakowie na stanowisku kierownika wydziału opieki społecznej. W niepamiętnym mi bliżej czasie w grudniu 1940 roku zawiadomiony zostałem, że na Dworcu Głównym w Krakowie znajduje się transport dzieci wysiedlonych z poznańskiego przez niemieckie władze okupacyjne. Kiedy udałem się na miejsce, znalazłem w wagonach stojących na dworcu około 200 dzieci w wieku od około ośmiu do około czternastu lat. Panowały wówczas wielkie mrozy, a dzieci znajdowały się w wagonach nieopalanym. Stwierdziłem wówczas, że około dwadzieścioro kilkoro dzieci już nie żyło, gdyż zmarło w drodze. Resztą tych dzieci, z których wiele było chorych i miało liczne odmrożenia, zaopiekowałem się, rozmieszczając je po różnych domach opieki społecznej na terenie Krakowa. Zamierzając w przyszłości urządzić dla tych dzieci kolonię w miejscowości Zaryte koło Rabki, zacząłem starania o odpowiednie zaopatrzenie w żywność u ówczesnych władz niemieckich.

Zezwolenia na prowadzenie kolonii i jej zaopatrzenia mógł udzielić tylko starosta niemiecki w Nowym Targu, dr Brück. Udaliśmy się tam z posłem Rymarem. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem przechodzącego z gabinetu pana starostę, który okazał się młodzieńcem znanym mi sprzed wielu lat.

Było to gdzieś w 1935 roku. Kiedy zmieniałem mieszkanie przy ul. Topolowej w Krakowie, zgłosiło się do mnie dwóch studentów medycyny z prośbą o sprzedaż im stołu, szafy, kuchenki gazowej itp. z pokoju, który opuszczałem. Rzeczy te były mocno zużyte. Kiedy dochodziło do transakcji, za całość podałem śmiesznie niską cenę, bo coś ok. 50 zł. Obaj nie posiadali ani grosza, zapewniając mnie, że spłacą to w ratach miesięcznych. Żał mi się zrobiło młodzieży, toteż oświadczyłem bez wahania, że rzeczy te z dodatkiem jeszcze innych drobiazgów zostawiam im w użytkowanie, z tym jednak, że należność spłacą po skończeniu studiów. Jednym z nich był właśnie wspomniany wyżej dr Brück. Przypomniał mi się sobie doskonale i naszą placówkę w Zarytem wyposażył tak obficie we wszystko, że nadmiar produktów zmuszeni byliśmy przewozić nawet do Krakowa na potrzeby kolonii umiejscowionej na Krzemionkach. W tym stanie rzeczy kolonie zaczęły fungować doskonale.

Opiekę lekarską sprawował dr Stanisław Kłodziński, który był duszą i sercem placówki. Towary z Nowego Targu, a szczególnie środki spożywcze, przewożono do Zarytego wypożyczonym autobusem Krakowskich Miejskich Kolei Elektrycznych, których pracownicy wykazywali wraz z dyrekcją jak największą w tym kierunku pomoc.

4. Na Montelupich

Był 18 maja 1941 roku. Załadowany autobus zdążył do Krakowa. W Nowym Targu zabraliśmy, jak się później okazało, oficera Wojsk Polskich o nieznanym mi nazwisku. Człowiek ten pracował w organizacji podziemnej i był pod ścisłym nadzorem Gestapo.

Przed Myślenicami zatrzymano wóz, za którym niezauważona podążała osobówka Gestapo. Nastąpiła rewizja i przewiezienie na „Monte”. Oficer ów zbiegł w Myślenicach. To rozwścieczyło Gestapo, nastąpiły bicie oraz znęcania się. Już w czasie pierwszego przesłuchania stosowano tortury, takie jak łamanie palców, bicie bykowcami, a już najstraszniejszym był bat z ołowianymi kulkami na końcu. Rozebranego do naga mężczyznę stojącego w rozkroku podcinano od tyłu batem w części rodne. Bólu tego nie da się opisać. Więźniowie tracili przytomność.

W czasie kilkutygodniowych przesłuchań padło między innymi nazwisko inż. Jurczaka, właściciela zakładu instalacyjnego w Krakowie przy ul. Franciszkańskiej 4. Przesłuchujący oficer rzucił pytanie:

– Co robiłeś w firmie Jurczaka?

Spodziewał się na pewno, że powiem, że takiego nie znam.

Odpowiedziałem, że to nie ja chodziłem do firmy Jurczaka, a odwrotnie, inż. Jurczak przychodził do mnie. Z firmą Jurczaka zawierałem umowy na roboty instalacyjne w prowadzonych przeze mnie zakładach opieki społecznej. Na zarzut, dlaczego nie wziąłem innej firmy, użyłem argumentu, że oferta inż. Jurczaka była

nawet droższa od innych, ale dwie pozostałe złożone były przez firmy żydowskie, z czego nie wolno było mi korzystać.

W czasie kontroli potwierdzono, że moje zeznania pokrywały się z prawdą. Po paru tygodniach przystąpiono do spisywania protokołu. Do niczego się nie przyznałem, a w ostatnich zdaniach protokołu dopisano, że mój stosunek do firmy Jurczaka był służbowy. Nie wiem, czy tej okoliczności nie zawdzięczam swego życia. Po podpisaniu protokołu nie byłem już więcej przesłuchiwany, a tylko wyczekiwałem w celi z garścią współwięźniów, co przyniesie los.

5. Więzienne życie

Cele – brudne, zapluskwione i zawszone – były straszne dla więźniów. Poza tym głód przyprawiał o mdłości. Nic dziwnego, że z niecierpliwością wyczekiwaliśmy na wóz, który raz w tygodniu przywoził na Montelupich skromne, ale cenne posiłki.

Nasza opiekunka Zazulowa, wchodząc na podwórze więzienne, rozglądała się po oknach cel, a swoim uśmiechem dodawała sił i nadziei na przetrwanie. Na „Monte” biegły dni, tygodnie...

Ogromne wrażenie robił na mnie wieczorny śpiew kobiet, które intonowały pieśni religijne z takim nabożeństwem, że poruszały nas wszystkich.

Potworne były zwłaszcza soboty i tych najbardziej się bano. Nocą bowiem pijane żołdactwo wracało z miasta i dla sportu otwierało byle którą celę, urządzając

aresztowanym ćwiczenia sportowe. Były one straszną masakrą. Raz taką noc przeżyłem. W czasie snu otwarto celę i lagi tudzież bykowce poszły w ruch. Spałem na jednym łóżku od ściany z kolegą Szymańskim, komornikiem z Kalwarii. W czasie katuszy i obrony rękami przed ciosami wpadłem za łóżko, co uratowało mnie od dalszych tortur. Mimo to rano zauważyłem na całym ciele granatowe sińce. Niektórzy z pobitych robili wstrząsające wrażenie. Byli po prostu sini! Niektórzy z nas mogli, jeśli tylko wszy i pluskwy na to pozwalały, spać tylko na brzuchu. Inne części ciała były zmasakrowane i obolałe.

Archiwum KŚZpNP:

Protokół przesłuchania świadka
Stanisława Głowy
3 czerwca 1970 r.

[...] Potem przewieziono nas obu do więzienia na Montelupich. Tam umieszczony zostałem w niewielkiej celi w prawym skrzydle gmachu na drugim piętrze, której górne okno wychodziło na wylot ulicy Kamiennej w pobliżu dworca towarowego.

W celi tej przebywało razem ze mną sześć osób, z których z nazwiska pamiętam tylko jednego, a mianowicie komornika z Kalwarii Zebrzydowskiej N. Szymańskiego, który zmarł potem w obozie. W celi tej przebywałem do 12 sierpnia 1941 roku, kiedy to wywieziony zostałem transportem do obozu w Oświęcimiu.

W okresie mego pobytu w więzieniu byłem wielokrotnie przesłuchiwany przez nieznanymi mi trzech gestapowców w celi znajdującej się na parterze. W czasie tego przesłuchiwania byłem przez tych gestapowców, a także przez towarzyszącego im i również nieznanego mi tłumacza, bity i kopany, a także torturowany w ten sposób, że gestapowcy ci, kazawszy mi stanąć w rozkroku, po rozebraniu bili mnie w części rodne rzemiennym batem zakończonym ołowianymi kulkami. W trakcie tych przesłuchiwań byłem również bity pejcami po całym ciele. Przesłuchania poprzedzone były stójkami w korytarzu twarzą do ściany. Pewnego razu przechodzący za mną gestapowiec uderzył moją głową o ścianę z taką siłą, że złamał mi kość nosową i spowodował wybitcie dwóch zębów.

Kto był w owym czasie komendantem więzienia, tego nie wiem względnie nie pamiętam, jak również nie pamiętam ani nazwisk, ani wyglądu gestapowców pełniących służbę i należących do obsługi więzienia. Zdarzało się, że w sobotę gestapowcy ci wracali wieczorem lub nocą z miasta w stanie nietrzeźwym i wtedy, otwierając dowolną celę, znęcali się nad więźniami, bijąc ich i kopiąc. Krzyki i jęki z innych cel dochodziły do naszej celi. Pewnej soboty w czerwcu 1941 roku wpadło także do naszej celi jakichś trzech gestapowców, z których dwóch biło mych współtowarzyszy lagami drewnianymi, a jeden

bykowcem. Często w ciągu dnia, a także i wieczorem, słyszałem strzały dochodzące gdzieś z dziedzińca więziennego. Pewnego dnia fryzjer, który strzygł więźniów, obchodząc poszczególne cele, opowiadał nam, że gestapowcy zastrzelili na hałdzie koksu, która znajdowała się na dziedzińcu, kilkunastu Żydów. Nazwiska tego fryzjera nie znam.

Z obawy przed wybuchem epidemii tyfusu, postanowiono brudne nad wyraz cele pobielić. Przyszedł rozkaz, by wraz z naszymi rzeczami przenieść nas na okres bieleńca do celi zbiorowej. Pakując do koca rzeczy, niezauważony przez służbę ściągnąłem wraz z gwoździem obrazek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, wiszący nad drzwiami celi, i schowałem w koc.

Na korytarzu rewizja rzeczy. Oczywiście SS-man znalazł obrazek. Postawił mnie na oczach wszystkich obecnych pod ścianą twarzą do korytarza i obrazek ten przybijał mi łaską do czoła. O dziwo obrazek się trzymał, a jego radość była wielka. Bałem się tylko o naruszenie kości czołowej. Niemniej ból był znaczny. Opuchlizna w kształcie wielkiego guza ustąpiła jednak po kilkunastu dniach. Widok ten zrobił na współtowarzyszach potworne wrażenie. Widziałem, jak ks. Hala, obecny przy tym, szeptał słowa modlitwy, wysyłając już moją duszę na inny, nie SS-owski świat.

Ciekawie nad wyraz układało się życie w celach. Próby porozumiewania przez piece często dawały dobre

rezultaty. Najczęściej jednak rano dochodziło do wymiany zdań przy „kiblowaniu”.

O sukcesach III Rzeszy, zwłaszcza tych na froncie wschodnim, zawiadamiano przez głośniki. Dziwna rzecz, że wypadki te nie łamały w nas ducha. W celach poruszaliśmy również sprawy polityczne, mimo obawy przed kapusiami. Najwięcej jednak rozmów toczyło się wokół spraw kulinarnych. Każdy z towarzyszy niedoli wymyślał coraz to nowe frykasy, które nie miały sobie równych. Ich żony były najlepszymi gospodyniami i, ach!, gdyby tak jedno takie danie, sporządzone przez którąś z żon, można było podać w tamtej chwili w celi... Ciekawe, że największymi smakoszami, całymi dniami rozmawiającymi o jedzeniu, byli księża. Nie podaję nazwisk, bo niektórzy z nich pozostają przy życiu i mogliby mniemać, że chciałbym zostać zaproszony na takie przyjęcie z wymienianymi wówczas smakołykami.

Porządek dnia na „Monte” był następujący:

O 6.00 rano pobudka, robienie porządków, kiblowanie, po czym w celi do obiadu straszliwa nuda. Część więźniów zaostrzonymi łyżkami strugała sęki na stołach. Starty proch drzewny, zawinięty w kawałek gazety, imitował papierosa, a uczestnik mógł wypuścić chociaż jeden dymek. Jedni grali w kostki sporządzone z chleba, drudzy prowadzili dysputy polityczne, a inni wreszcie, dla odmiany, wykreślali na stole linie. Ja z nudów czyściłem przez parę tygodni kibel, który ku zdziwieniu wszystkich błyszczał jak srebro, choć wcześniej wyglądał na zardzewiałe, brudne naczynie.

Obiad o godzinie 12.00 – zupa zwana pospolicie „ścierkową”. Rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby w niej

ścierki kręcono. Na drugie garść kaszy, często surowej, a wszystko oczywiście jałowe. Popołudnie również monotonne, urozmaicone oglądaniem przez szpary w „koszach” ludzi na wolności i tramwajów...

Wiadomości raczej skąpe. Uwagę skupiały bardzo częste wywózki więźniów do miejsc wpadek, przesłuchań czy wizji lokalnych. Wywożonych uważano przeważnie za kapusiów. Czy jednak słusznie, nie wiem. Znam przypadek, że przez kilkanaście dni wywożono z „Monte” więźnia, który nikogo nie wyspał i na którym mimo potwornych tortur śledztwo się urywało.

W czasie pobytu na Montelupich spotkałem grupę aresztowanych w Ubezpieczalni Społecznej w Krakowie, z kapitanem Męclem na czele. Grupa ta trzymała się dzielnie przez dłuższy czas. Niektórzy jednak nie wytrzymali tortur, załamali się. Całą tę grupę wywieziono do Oświęcimia i rozstrzelano. Byłem świadkiem tych rozstrzelań. Była to ostatnia egzekucja z plutonem egzekucyjnym. Potem strzelano już tylko w tył głowy na bloku 11.

W tej ostatniej egzekucji z udziałem plutonu zginęli: wspomniany wyżej kapitan Teofil Męcel, Rudolf Kropacz, znany działacz Cracovii, Łyko i Pachner – piłkarze Wisły, młody student Tochowicz, pracownik ubezpieczalni Wołkowski i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam.

Kolacja – okrucuch chleba i czarna kawa – to wszystko. Jedzenie podłe. Ale niepracującym sił ubywało znacznie wolniej niż przy pracy. Z tego powodu życie więźnia wydłużało się. W więzieniu na „Monte” spotykało się niemal co dnia sporo znajomych. Do naszej celi, a sądzę, że

i do innych, zaglądali funkcyjni, jak: kol. Cyrankiewicz, dr Garbień i inni. Jeśli chwila była odpowiednia, podrzucali grypsy.

Jednego upalnego popołudnia z celi na drugim piętrze widzieliśmy następujący obrazek: grupa kilkudziesięciu Żydów rozebranych do naga musiała czołgać się po dużej stercie koksu. Komendy „Powstań!” i „Padnij!” powtarzały się co chwilę. Sport ten trwał blisko dwie godziny. Część więźniów, zboczona krwią, mimo bicia nie podnosiła się. Nie żyli. Resztę ćwiczone, aż ostatni upadł nieprzytomny. Wówczas dwaj SS-mani podobiali konających, strzelając im w tył głowy.

Obrazki takie powtarzały się dość często. Również potworne jęki dochodziły od osób przesłuchiwanym. Ciekawe, że mężczyźni torturowani wyli z bólu, w przeciwieństwie do kobiet, których jęki były ciche, przypominające skomlenie czy miauczenie kociąt. Faktem jest, co stwierdziłem już w czasie pobytu w obozie, że niewiasty są odporniejsze i wytrzymalsze na wszystkie męki.

Letnią ciszę wieczorną mąciły tylko żałosne pienia. Kobiety zaczynały zwykle od *Wszystkie nasze dzienne sprawy* i kontynuowały przez całą gamę pieśni nabożnych i świeckich. Były to dla nas chwile ukojenia, a śpiew tych nieszczęśnic wydawał się słowiczym.

Wreszcie cisza. Tylko przekleństwa:

– Cholera, te pluskwy... Złapałem drania! Już zgnieciona.

A za chwilę inny:

– Złaż z kibla, bo straszny smród.

I tak prawie całą noc.

A dzień następny zaczynał się jak co dzień. Na twarzach więźniów przygnębienie, oczy błędne, skóra pożółkła. Co będzie? Kiedy mnie zwolnią? Rozprują czy ewentualnie wywiozą?

6. Arbeit macht frei

Wreszcie doczekaliśmy się 11 sierpnia 1941 roku. Wywołano mnie z celi na drugim piętrze i umieszczono w celi wspólnej, tzw. transportowej. Spotkałem się tam z kolegami aresztowanymi razem ze mną, to jest z: Kłodzińskim, Tadzkiem Wąsowiczem, Świszczowskim, Kretem, Szymańskim i innymi.

W dniu 12 sierpnia 1941 r. wczesnym rankiem ruszyliśmy w nieznaną. W samochodzie ciężarowym pokrytym szczelnie brezentem umieszczono na przedzie i w tyle po dwóch SS-manów z ręcznymi karabinami maszynowymi. Więźniowie w pozycji siedzącej przykućci jeden do drugiego. Lewą rękę miałem przykutą do kol. Świszczowskiego, a prawą złączoną z kol. Wąsowiczem.

Na nieszczęście za mocno zaciśnięte miałem kajdanki na rękach. Ból był tak potworny, że bliski już byłem utraty przytomności. Było mi już nawet obojętne, dokąd i po co jadę, i byłbym szczęśliwy, gdyby jak najszybciej nastąpił koniec.

Znając poprzednie wywózki z „Monte”, byłem pewien, że wiozą nas w jakieś lesiste miejsce na rozstrzelanie. Po dwóch może godzinach jazdy wóz się zatrzymał, a nam kazano wysiadać. Wówczas po raz pierwszy

zobaczyłem przy stojących nieopodal wagonach ludzi w pidżamach. Chudzi, wybiedzeni, robili wrażenie cieni posuwających się z kilkoma cegłami w rękach. Był to przedsmak tego wszystkiego, co ja sam i koledzy z mojego transportu mieli przeżyć przez kolejne cztery i pół roku.

Staliśmy w pobliżu obozu śmierci Oświęcim!

Arbeit macht frei – odczytaliśmy na bramie wejściowej.

Rozdział II

KL Auschwitz

1. Pierwsze dni w obozie

Po południu podprowadzono nas pod obóz. Stoimy już rozkuci między drutami wysokiego napięcia. Nie wolno ani drgnąć, bo śmierć niechybna. Po kilku godzinach czekania przekraczamy bramę. Rozbieranie i zdawanie własnych rzeczy, następnie golenie i kąpiel. Jak ona wyglądała? Wielka kadź z jakimś brudnym płynem. Więzień musiał szybko wskoczyć.

Poczynając od samej bramy, pędzono nas kijami jak zaszczute psy. Na narożnikach ulic widzę śmieszne rysunki: ksiądz z żydem jadą na świni albo ksiądz z żydem prowadzą się pod rękę, to znowu żyd na krowie czy ksiądz na żydzie.

Po kąpeli ubieranie się w stroje obozowe. Co za straszne łachy! Pasiaki kilka razy łatane, a przy tym potwornie brudne. Wyglądaliśmy jak pajace. Na nogach drewniaki – trudno było się poruszać. Wreszcie tak wyelegantowani szliśmy do fotografii. Fotografie sporządzano w trzech wersjach. Dla lepszego pozowania